

Imigracja przemieniała kobiety. „Polskie kobiety w Minnesocie musiały tworzyć dom bez pomocy matek, babć i ciotek. Dawało to im więcej wolności z jednej strony, ale więcej szkody z drugiej. Taka sytuacja wymagała więcej elastyczności i zdolności twórczych, kiedy trzeba było przygotować dzieci do życia w świecie, którego same do końca kobiety te nie pojmowały” (s. 25).

Czy owe matki polskie osiągnęły sukces? Biorąc pod uwagę fakt, że sama północna Minnesota zrodziła ok. 450 ochotników do Armii Hallera, że w 17 polonijnych parafiach tego stanu kilkadziesiąt procent parafian nosiło mundur wojskowy podczas II wojny światowej, że od 1886 do 1978 r. w Minnesocie wydawano gazetę mającą czytelników także w sąsiednich stanach, oraz to, że stan ten zrodził poetkę Wiktorię Jandę, laureatkę nagrody Pulitzera, to z pewnością możemy stwierdzić, że polskie matki wychowaniem swych dzieci nie tylko dostosowały je do nowego świata, ale nadały mu blasku.

W jakim kierunku idzie Polonia Minnesoty? Stare skupiska rozproszyły się. Polaków tego stanu „nie można dłużej zakreślać geograficznie” (s. 77), bowiem zaczęła być „rodzajem społeczności wirtualnej, trzymającej się razem dzięki komórkom, działaczom i grupom, które w razie potrzeby zdolne są stworzyć znaczące wsparcie dla wspólnych celów” (s. 78). Zobaczymy, czy to wystarczy.

Proszę zwrócić uwagę na Radziłowskiego. Młody naukowiec pisze dobrze, jasno i zwięźle. Niemałym osiągnięciem jest ujęcie historii Polonii w Minnesocie na 83 stronach książki, wzbogaconej licznymi białoczarnymi fotografiami i bocznymi uwagami dodającymi jej więcej smaku. Radziłowski stosuje metody współczesnej socjologii, jednak bez nudnej osobistej politycznej poprawności występującej u niektórych polonijnych autorów.

Przyjemna jest oprawa książki. Również dla chcących badać temat dalej, dostarczono 8 stron pogłębiających przypisów. Krąg czytelników tej książki nie ogranicza się tylko do tamtejszych Polaków. Książka ta może być wzorem dla polonijnych historyków innych stanów. Może być równie ciekawa dla wszystkich Amerykanów. Nasi przodkowie zasłużyli na taką dokumentację. Polecam.

*John M. Grondelski*  
*Tłumaczyła Dorota Grondelska*

June Granatir A l e x a n d e r, *Ethnic Pride, American Patriotism: Slovaks and Other New Immigrants in the Interwar Era*, Philadelphia: Temple University Press 2004, ss. XIV + 278.

Bywa, że przez porównanie z innymi można się czegoś dowiedzieć o sobie. Lektura pracy June Alexander o losach Amerykanów pochodzenia słowackiego w okresie międzywojnia daje polonusowi okazję do wielu przemyśleń na temat własnej historii.

Dostarcza również interesującego spojrzenia na słowiańskiego sąsiada, który, z reguły, traktuje Polaków niezwykle przyjaźnie.

Jeśli dobrze się nad tym zastanowić, to okazuje się, że losy słowackich imigrantów były nawet bardziej zagmatwane niż ich polskich pobratymców. Polscy imigranci z końca XIX i początku XX wieku też musieli się uczyć myślenia o sobie jako o Polakach, a nie Pomorzanach, Ślązakach czy Galicyjczykach. Przyszło im to jednak łatwiej, bo zawsze mogli się odwołać do swoich historycznych korzeni – niepodległej Polski, rozdartej na części przez zdradzieckich sąsiadów. Słowacja natomiast, mimo wyraźnej odrębności kulturowej, nigdy nie stanowiła niezależnego państwa, a pierwsze poważne badania nad językiem słowackim miały miejsce dopiero pod koniec XVIII wieku. Dla amerykańskich sąsiadów Słowacy byli po prostu „Hunkies” – przybyszami z północnej części Węgier i wielu spośród nich tak właśnie o sobie myślało.

Tymczasem nadeszła I wojna światowa. Woodrow Wilson apeluje o niepodległą Polskę. Wiele spośród narodów imperium Austro-Węgier upatruje w wojnie możliwość wyrwania się z pęt Wiednia i Budapesztu. Słowaccy imigranci w Ameryce rozpoczynają agitację w sprawie niepodległości rodzimego kraju. Podobnie jak Polacy wstępujący do armii Hallera, zaciągają się do wojska we Francji, w szeregi tzw. *emigre army*, składającej się z czeskich i słowackich rekrutów.

Alexander, profesor Uniwersytetu w Cincinnati, skupia swe obserwacje na zjawisku „dopasowywania się” Słowako-Amerykanów do realiów nowej ojczyzny. Jednakże według niektórych już samo pojęcie Słowako-Amerykanin skazywało te wysiłki na niepowodzenie: cytowany w książce Teodor Roosevelt i wczesny Wilson głosili, że „nie ma miejsca w tym kraju” dla „Amerykanów z myślnikiem w nazwie” (s. 17). Praca Alexander dokumentuje drogę imigrantów słowackich, którzy udowodnili, że adaptacja w Ameryce jest jednak możliwa. Podobnie jak przybysze z Polski, Słowacy byli tu nowi i zajmowali najniższe szczeble drabiny społecznej. W czasach I wojny światowej amerykański natywizm (polityka uprzywilejowania obywateli kraju w stosunku do imigrantów – przyp. tłum.) gotów był doszukiwać się nielojalności w każdej grupie imigrantów innych niż pochodzenia anglo-irlandzkiego. Ówczesna polityka zagraniczna USA opowiadała się wprawdzie za niepodległością Polski, ale nie popierała idei rozpadu Austro-Węgier. Forsowanie zatem sprawy słowackiej groziło posądzeniem o brak lojalności wobec władz. W tej sytuacji Amerykanie pochodzenia słowackiego i czeskiego zjednoczyli się w dążeniu do utworzenia jednego państwa – Czechosłowacji, która ostatecznie, wraz z Polską, pojawiła się na mapie Europy w 1918 r.

Autorka opisuje różne sposoby demonstrowania lojalności Słowaków wobec nowej ojczyzny – np. kupowanie tzw. obligacji wojennych. Jednakże niektóre jej stwierdzenia na temat procesu asymilacji wydają się nieco przesadzone, jak te na temat języka. Z jednej strony uznaje procesy naturalizacji i naukę angielskiego za bardzo korzystne dla imigranta, z drugiej zaś przesadnie akcentuje, że w czasach I wojny światowej pracodawcy wymagali od zatrudnionych, by uczyli się języka, i traktuje to jako przejaw natywistycznej nietolerancji (s. 39-41).

Koniec wojny nie oznaczał dla Słowako-Amerykanów kresu problemów asymilacyjnych. Wojna, co prawda, wylansowała nieco grupy etniczne „z myślnikiem w nazwie” na tle amerykańskiej mozaiki, ale już na początku lat dwudziestych Kon-

gres uchwalił nowe prawo imigracyjne różnicujące ludność napływową. Z mocy tego prawa Słowacy, podobnie jak przybysze z Polski, zostali formalnie uznani za gorszy gatunek imigrantów – białą hołotę i poddani restrykcyjnym limitom imigracyjnym. Alexander pokazuje w swej pracy, w jaki sposób starali się przezwyciężyć ciężące na nich piętno niechcianych (organizując m.in. festiwale etniczne, zwłaszcza doroczne „Słowackie Dni”). Opowiada o zapaści demograficznej wywołanej niedoborem świeżej imigracyjnej krwi i sposobach jej przeciwdziałania (głównie poprzez krzewienie świadomości etnicznej wśród młodego pokolenia słowackich Amerykanów).

Jeden z niezwykle interesujących rozdziałów książki (s. 160-191) poświęcony jest zabiegom wokół zorganizowania zrębów opieki społecznej. Podobnie jak w Polsce, Słowakom udało się zorganizować system ubezpieczeń w ramach ziemkowskich organizacji sprzedających polisy. Takie organizacje nieźle radziły sobie w obliczu pojedynczych, a nawet grupowych (lokalne strajki w latach dwudziestych) szkód. Czasy poważnych klęsk ekonomicznych, takich jak Wielki Kryzys lat 1929-1936, były im jednak nie w siłę. Alexander przedstawia zabiegi słowackich organizacji ziemkowskich i ich współpracę z innymi grupami etnicznymi mające na celu prawne usankcjonowanie podstawowych form opieki społecznej, co ostatecznie zaowocowało uchwaleniem Aktu o opiece społecznej (*Social Security Act*) z 1935 r. Warto by się zapewne pokusić o zbadanie zasług Polonii w tej kwestii.

Druga wojna światowa wystawiła Słowako-Amerykanów na kolejne próby. Polska była pierwszym krajem, jaki stawiał czoła Hitlerowi. Słowacja pod rządami Tiso, przeciwnie, stała się sojusznikiem Niemiec. W 1939 r. niektórzy Amerykanie słowackiego pochodzenia mogli jeszcze unikać odcięcia się od powstałego prohitlerowskiego państwa słowackiego i traktować je jako wybór mniejszego zła, do pewnego stopnia nawet usprawiedliwiony krzywdami doświadczonymi w zdominowanej przez Czechów Czechosłowacji. Kiedy jednak Słowacja wypowiedziała wojnę Stanom Zjednoczonym, nie było już miejsca na wykręty. Alexander pokazuje jak Amerykanie o słowackich korzeniach po raz kolejny udowodnili nowej ojczyźnie swoją niezłomną lojalność, zwłaszcza poprzez nabywanie obligacji wojennych.

Po zapoznaniu się z lekturą trudno nie żywić nadziei, że autorka poszerzy swoje badania o czasy powojenne aż do współczesnych. Słowacy nie przeżyli w tym okresie masowej emigracji czy wielkich antykomunistycznych zrywów. Słowacka społeczność w USA nie doświadczyła więc napływu świeżej imigranckiej krwi, w odróżnieniu od Polonii, posiłkowanej kolejnymi falami imigrantów w latach: 1945-1948, 1956, 1968, 1970, 1976 i 1981. Zbadanie wpływu tych okoliczności na sytuację słowackiej wspólnoty dostarczyłoby zapewne wielu ciekawych informacji.

Słowackich Amerykanów, tak jak Polonii, nie ominęły wewnętrzne podziały. Ze względu na zróżnicowanie religijne miały one znacznie ostrzejszy charakter niż wśród Polaków, a ich granice wyznaczały wpływy utworzonych ziemkowskich zgromadzeń. Przykładem może posłużyć debata na temat Narodowego Dnia Słowaka, który miano ogłosić na wzór irlandzkiego Dnia św. Patryka. Co do ogólnej słuszności idei nie było sporów, ale – jak się okazało – „diabeł tkwił w szczegółach”. Słowaccy katolicy proponowali 5 lipca dla uczczenia świętych Cyryla i Metodego. Słowaccy luteranie natomiast nie godzili się na świętych, a najmniej na takich, których wybór mógłby sugerować, że katolicy wnieśli większy wkład do słowackiej

kultury niż wierni ewangelicy. Tak oto, w duchu najlepszych słowiańskich tradycji, niektóre lokalne społeczności celebrowają kilka narodowych dni, podczas których oratorzy, z właściwym Słowianom upodobaniem perorują o „jedności”. Przykłady podziałów wśród słowackich Amerykanów dotyczą również poważniejszych zagadnień, takich jak stosunek do międzywojennej Czechosłowacji. Czy to państwo było: zdradą oczekiwań i organizacją zdominowaną przez Czechów; dobrym projektem, ale niedostatecznie zdecentralizowanym; świadectwem słowiańskiej solidarności; czy też dobrym projektem, niedostatecznie, co prawda, zdecentralizowanym, ale jednocześnie niegotowym do udźwignięcia większej lokalnej autonomii? Takie oto pytania podnoszą poszczególne zgromadzenia. Jak widać, Polonia nie posiada monopolu na wewnętrzne podziały.

Imponujący w tej pracy jest zakres wykorzystania przez autorkę bezpośrednich źródeł informacji, a zwłaszcza słowackiej prasy imigracyjnej. Przeprowadzona analiza jest bardzo wyważona i nieprzesłonięta racjami żadnego z pomniejszych ziomkostw. Ta książka to ważne wydarzenie w historii i życiu kulturalnym tej małej i nazbyt często niesprawiedliwie pomijanej grupy etnicznej w USA.

Amerykanie polskiego pochodzenia mogą zaczerpnąć z tej lektury wiele wartościowej wiedzy zarówno o sobie, jak i o swoich Słowako-Amerykańskich sąsiadach. Gorąco polecam.

*John M. Grondelski*  
*Tłumaczyła Jolanta Flores*

*Blisko, a tak daleko. Polacy w obwodzie brzeskim na Białorusi*, redakcja naukowa Adam Bobryk, Warszawa: Siedleckie Towarzystwo Naukowe, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” oddział w Siedlcach 2004, ss. 307.

*Blisko, a tak daleko...* pod takim tytułem redaktor naukowy Adam Bobryk przedstawia materialne owoce badań dotyczących mniejszości polskiej zamieszkującej obszar administracyjny obwodu brzeskiego w Republice Białoruskiej. Autorami opublikowanych artykułów są naukowcy i studenci z wielu ośrodków akademickich Polski, Białorusi i Litwy, reprezentujący bardzo różne dyscypliny naukowe, m.in. socjologię, historię, polonistykę, pedagogikę, teologię, etnologię, filozofię. Taka interdyscyplinarność jest dla czytelnika gwarancją wieloaspektowego spojrzenia na analizowany problem i stanowi niewątpliwą atut recenzowanej publikacji.

Pomysłodawca projektu podjął się trudnego zadania. Próba rzetelnego ukazania współczesnej obecności Polaków na terenie obwodu brzeskiego to nie lada wyzwanie badawcze. Jednakże udało się zebrać na tyle różnorodne grono autorów, że powstała w ten sposób publikacja stanowi cenne kompendium wiedzy, na temat sytuacji mniej-